



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr 20

NA GOLGOCIE.

Chrystus rozciągnął skrwawione ramiona,
Na drewnie krzyża podniesion w błękity;
Włóczę setnika już ma bok przebity,
Pochyli głowę i skona!

Skona, a rzesza przełęknego ludu,
I Magdalena pod krzyżem leżąca,
Niebo i ziemia, gasnący krąg słońca—
Daremnie czekają cudu.

Lecz żaden Boży anioł nie przybywa,
Z ognistym mieczem nie spływa z wysoka;
Tylko w kościele zasłona się zrywa
I drży Golgoty opoka.

I nic.... sklepienie niebieskiego stropu
Ku padołowi ziemi się nie nagnie,
Gdy Chrystus trzykroć zawołał, że pragnie.
Dano Mu do ust hyzopu.

Teraz umiera—już, już głowę spuścił,
Lecz w ciszy, która zalega dokoła,
Jeszcze się ozwie—głos Jego zawoła:
— Ojczel czemuś mnie opuścił?...

Ah! jak straszna, jak straszna noc nadchodzi,
Jaka trwoga na serca ludzkie bije;
Jak rozpacznie szlochają trzy Marye,
Rzesza niewiast jak ciężki jęk zawodzi!

Przełęknione blaski dnia jutro wstaną,
Ale cicho, cicho, ty, biedny tłumie:
Ten kto kocha i wiernie czuwać umie,
Niech u grobu znajdzie się w trzecie rano.

M. I.

POGA WĘDKA.

Posepna cisza wielkiego tygodnia zatamowała
chwilowo żywsze tętna publicznego i towarzyskiego
ruchu.

Jutro świat chrześcijański stanie u grobu
Chrystusa, aby w poważnej zadumie zwiesić głowę
i z hołdem ukłekać przed majestatem ofiary
i poświęcenia.

W tej wspaniałej trylogii Chrystusowej, pomiędzy
Narodzeniem a Wniebowstąpieniem, Wielkanoc
najsilniej przemawia do cierpiących dusz
ludzkich, bo daje im ukojenie jakieś w nadziei
zmartwychwstania, zrzucenia więzów śmierci moralnej
i cielesnej, ożywia otuchą, że każde męczeństwo
za wielką ideą nie spada w otchłań nicości bez śladu.

Więc pokrzepieni na duchu wstajemy i odchodzimy
od Bożego grobu z wiarą i nadzieją, że przez
krzyżową drogę, przez Kalwaryę życia przejdziemy
tak samo, a w grobie naszym nie wszystko się skończy,
bo przy nim anioł nadziei stoi na straży, i anioł miłości
czuwa i anioł wiary spogląda w niebo, czekając hasła
do odwalenia pokrowy kamiennej, zpod której duch do
nowego powstać ma żywota.

Dla biednych, cierpiących, zgneębionych ludzi
Wielkanoc ze wszystkich świąt bywa najbardziej
uroczystą, najbardziej symboliczną pamiątką.

Niechże będzie dla nich szczęśliwą, pokrzepiającą,
pogodną!

Tem życzeniem uprzedzamy blizkie święta
i przechodzimy do kronikarskich obowiązków.

Z ubiegłych dwóch tygodni uzbierało się dosyć
zaległego materiału; mamy zdać jeszcze sprawę
z ostatnich odczytów na korzyść Osad Rolnych
i przede wszystkim pochwalić... publiczność, która
nader licznie zbierała się na tegoroczne prelekcje,
przysparzając dochodu tak pożytecznej instytucji,
jak za najlepszych czasów.

Było to poniekąd rehabilitacyą ze strony tegosamego
ogółu, który dość... nierzetelnie obchodził się
dotąd z Osadami Rolnymi; mamy na myśli
jedynie ogół członków Towarzystwa, pomiędzy
którymi znalazło się aż tylu... tytularnych, a nie-
honorowych, że na 30,000 rs. z zaległych składek
uszczuplili majątek i dochody instytucji.

Powiadają nawet, iż wielu z nich piastuje go-
gność delegatów na prowincyi, co zresztą tłómaczy
nam jasno, dlaczego zaległości takie z roku na rok
wzrastają. Jeżeli pan delegat sam siebie nie może
przypilnować, aby w terminie tych kilku rubli
rocznie złożył kassie Towarzystwa, jakżeż wymagać
od niego, by ściągał składki od członków swojego
okręgu?...

Od głowy przecież ryba cuchnie.

Tegoroczni prelegenci mogą sobie powinszować
powodzenia materialnego. Katedra w saliratuszo-
wej stała się olbrzymią skarboną, a każdy z prele-
gentów odegrał na niej rolę jałmużnika i czarodzie-
ja zarazem, bo żywe słowo zamieniał w brzęczącą
monetę, za którą okupione będą młode dusze
zblakanych moralnie od zatracenia i hańby.

Najbardziej zajmujący temat i najszczerze
oklaski uznania i podziękki odznaczały dwa odczy-
ty p. J. A. Świącieckiego, który mówił o „współ-
czesnym teatrze na Wschodzie“, roztaczając
przed swymi słuchaczami barwny i interesujący,
a nowy całkiem obraz dzisiejszego dramatu
u Persów i Japończyków.

Wiele szczegółów mogło zawstydzić naszą publiczność i naszych artystów, zwłaszcza w zestawieniu z Persami, dla których scena jest jakby szkołą obywatelskiego ducha i uczuć.

Poważniejszy charakter perskiego dramatu religijno-historycznego z patryotycznym odcieniem, przekonał nas, niestety, jak mało jesteśmy zbliżeni do... Persów pod względem gustu i traktowania sztuki, a natomiast jak najbardziej zbliżamy się do Japończyków ulegających, podobnie, jak my, wpływowi obcemu, a zwłaszcza francuszczyzny.

Pan Święcicki literaturę powszechną, zwłaszcza zaś wschodnią, studjuje z zamiłowaniem i nabrał już pewnej powagi i kredytu w popularyzowaniu jej na swoim gruncie; sam poeta, umie odczuwać piękno i ideał w poezji wschodniej, co więcej, w barwnej i starannej formie zamyka treść, zbieraną z obcych, mało dla szerszego ogółu przystępnych, źródeł.

Drugi poeta i dramaturg, p. Józef Kościelski, zajął z kolei miejsce p. Święcickiego na katedrze i „z pod głązów piramid“ mówił o wierzeniach i mitologii starożytnego Egiptu. Prelegent sam bawił czas jakiś nad Nilem, podróżował po pustyni i zwiedzał olbrzymie pomniki dawnej wielkości narodu i Faraonów: tem łatwiej przyszło mu przejąć się duchem obranego tematu.

W pięknych ozdobnych ramach ścieśnił on sam ekstrakt studyów najznakomitszych egiptologów i w przystępny a zajmujący sposób, słowem poety, kreślił główne zarysy mitologii starych Egipcjan, odkrywał ukrytą za symbolami myśl o Bogu i duszy ludzkiej, prostował błędne mniemanie o rzekomym fetyszyzmie ludów nadnilowych i opowiedział piękną baśń o Ozyrysie i Izydzie.

Ostatnie trzy odczyty należały do znanego u nas popularyzatora filozofii, Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, który, zajęty ważnymi sprawami poselskimi w parlamencie wiedeńskim, nie mógł osobiście stawić się w Warszawie i dla swych słów i myśli pożyczyc musiał cudzego głosu lektora.

Konsekwentnie z całym cyklem wypowiedzianych prelekcji w latach poprzednich hr. Dzieduszycki nawiązywał tegoroczne odczyty z ostatnimi o stoikach, cynikach i epikurejczykach, zapoznając swoich słuchaczy z „ostatnimi poganami“ wśród myślicieli i poszukiwaczy prawdy świata starożytnego.

Neoplatonizm ze swoim twórcą Plotynem był przedmiotem trzech lekcji, opracowanych z właściwą autorowi erudycją, chociaż w najgłówniejszej swojej istocie z mniejszą, niż wszystkie poprzednie przystępnością.

„Ostatni pogan“ zamknął kurs filozofii klasycznej, wyłożonej z katedry w ciągu lat kilku przez hr. Dzieduszyckiego w Warszawie, a zarazem zakończyły serją tegorocznych odczytów na korzyść Osad Rolnych.

Po świętach obiecują nam na prawdziwe wety „Byrona“, którego w czterech daniach przyrzekł krytycznym skalpelem pokrajać publicznie p. Wł. Spasowicz.

Wety te wszelako będą prawdopodobnie najbardziej pożywną częścią całego prelekcyjnego menu duchowej biesiady, jaką co rok miewamy w sezonie zimowo-wiosennym.

Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, przeprowadziwszy swoje lary i penaty z dotychczasowego *tusculum* przy kościele po-bernardyńskim, urządziło w niedzielę wystawę żywych obrazów w Teatrze Wielkim, ilustrując sympatyczne pieśni polskie w cenicznym ramach przy odpowiedniej muzyce, śpiewie i deklamacji.

Rozumie się, iż taka w stawa musiała miłośników żywej natury, udającej sztukę, bardziej zainteresować, aniżeli sztuką, udającą naturę na zwykłym płótnie.

Dochód z tego widowiska przeznaczono na powiększenie funduszu budowlanego, za który gdzieś (gdzie? jeszcze niewiadomo) — kiedyś (kiedy? także niewiadomo) stanąć ma pałac dla sztuki naszej i jej opiekunów w Warszawie.

Z ostatniego sprawozdania Towarzystwa dowiedzieliśmy się, że liczy ono członków 2,614, że w roku zeszłym 24,492 osób oglądało owych 300 *summa summarum* obrazów, które mieściły się na wystawie, że do rozłosowania zakupiono dzieł 45

za 4,420 rs. a ogólny dochód wynosił 16,631 rs. 55 kop.

W depozycie Banku Polskiego Towarzystwo posiada 33,850 rs. w papierach publicznych, pomiędzy którymi dzięki niezmiernym usiłowniom zapalonych zwolenników projektu wybudowania własnego gmachu, znajduje się zebrana ze składek publicznych summa 23,224 rs. 70 kop.

Do stu tysięcy jeszcze daleko; ale zważywszy, że skoro energia i wytrwałość zdołały w przeciągu dwóch czy trzech lat wydostać od ofiarności publicznej jedną trzecią preliminarznej kwoty, to może i reszta da się zebrać przy dobrych usiłowniach.

Z wyborów komitetu, który cały prawie utrzymał się w swym dotychczasowym komplecie, miejsce vice-prezesa zajął podwójny mecenas, bo Temidy i Apollina, p. Lucyan Wrotnowski.

Sprawozdanie przeto przedstawia się pod względem merytorycznym niezgorzej, chociaż dla kasy więcej w roku ubiegłym zrobiono, aniżeli dla sztuki i jej zachęty, a projekt budowy własnej galerii więcej pochłoniął starań i uwagi Towarzystwa, aniżeli zbiory i dzieła, które mają być jej właściwą ozdobą.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje drugie sprawozdanie z czynności komitetu zarządzającego kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym, imienia Dra medycyny Józefa Mianowskiego za rok 1883.

Dowiadujemy się z niego również o epidemicznej wadzie wszystkich naszych stowarzyszonych: o zaleganiu w opłacie składek.

Na 795 członków, — zalegających aż 238!

To trochę za wiele, jak na samą inteligencją i przeważnie ludzi średniej zamożności, dla których 5 rs. dobrowolnego podatku na korzyść nauki rocznie nie może stanowić tak wielkiej różnicy.

Nie w finansowych przeto warunkach, nie w kieszeni, ale w charakterze tych „nieregularnych“ trzeba szukać przyczyny złego i dlatego nie do pugilesów, ale do ambicyj pukać należy.

Kassa imienia Mianowskiego, w krótkiej swej działalności potrafiła zrobić bardzo wiele, skoro około 40,000 rs. zebrała na swoje cele, co prawda dopomógł jej w tem wiele hojny zapis s. p. J. N. Jaskowskiego, znanego ongi poety, który 15,000 rub. sr. w listach zastawnych złożył na fundamentach tej sympatycznej instytucji.

Na same pożyczki i zapomogi rozdano w ciągu dwóch lat około 20,000 rs., wydano sporo książek i podręczników naukowych, wspomóżono znacznymi nawet summami ludzi, pracujących dla nauki, którzy wypłacają się ogółowi i literaturze poważnej swoimi dziełami i studjami.

Z czasem Kassa imienia Mianowskiego będzie mogła działalność swoją rozszerzyć jeszcze bardziej, gdy jej przybędą środki; będzie mogła zastąpić inicjatywę jednostek, która dzisiaj po największej części o własnych siłach musi zdążyć do dobrych i pożytecznych celów.

Takiej inicjatywie zawdzięczać będziemy w przyszłości album etnograficzne ludu naszego, zebrane z wzorów żywych, wprost z natury; zajęła się jego zebraniem i układem redakcja „Gazety świętecznej“, postanowiwszy gromadzić „obrazki włościan“. We wstępnym artykule jednego z ostatnich numerów zrywa ona swych czytelników z pod słomianej strzechy, by jej dostarczali fotogramów, lub rysunków typów ludowych w stroju koniecznie ludowym; sama ze swej strony obowiązuje się ponosić koszt fotografowania włościan, którzy się osobiście zgłoszą do redakcji „Gazety“ i na tej drodze gromadzić pragnie potrzebny materiał.

Za warunek położyła tylko, by zgłaszający się przybywali w swoim ludowym stroju, a nie, jak się to coraz częściej po wsiach zdarza, w jakimś niby z waszećcia i mieszczańską przykrojonym kostiumie, który pokrywa i zacierą piękny i malowniczy charakter dawnego ubrania.

Pomagają do tego niemieccy handlarze, zaopatrując lud w fabrykowane massami ubrania zagranicą i sporządzając je na nasze targi i jarmarki. Kiedy przed laty wskazywano naszym i prowincjonalnym krawcom obfite źródło dochodu w owych sukmanach, siermięgach, świtkach, kapotkach i t. p. — ze zwyczajnem niedowiarstwem

i lekceważeniem przyjmowano propozycją, aż Niemcy sami poszli po rozum do głowy i zaczęli wyrabiać u siebie to wszystko, aby się sprawdziło dosłownie zdanie, że nam „kurtę kroją“, i „buty szyją“, gdzie i kiedy mogą.

Album etnograficzne, zamierzone przez Redakcją „Gazety świętecznej“ z inicjatywy zacnego Kazimierza Promyka, dzielnego pisarza, przyjaciela i nauczyciela ludu, powinno znaleźć poparcie w klassach oświeconych. Nasze panie i panienki po dworach wiejskich, które kształciły w warszawskich pensjonatach rozmaite „talenta“ a zatem uczyły się i rysunków, mogą przyjsię Promykowi z pomocą i w wolnych chwilach kreślić wizerunki włościan i włościanek. Nie chodzi przecież o artystyczne wykończenie, ale o dokładność, bo rysunki, akwarelle czy fotogramy, użyte będą jedynie jako materiał, który spożytkują wprawniejsze ręce fachowych ilustratorów.

Kiedy mowa o wydawnictwach sympatycznych i pamiątkowych, trzeba zaznaczyć pojawienie się ósmej seryi „Albumu widoków Polski“, dopełniającej kolekcją 260 rysunków, zebranych przez s. p. Napoleona Ordę. Znajdujemy w tem, pośmiertnem już, wydaniu, ruiny starych zamków, świątynie i pamiątkowe dwory w guberniach: warszawskiej, kaliskiej, piotrkowskiej, kieleckiej, lubelskiej, radomskiej, płockiej, suwalskiej i łomżyńskiej.

Pod względem artystycznym i malowniczym jest to jedna z najpiękniejszych seryi; dołączono do niej nader udatny i wierny portret zasłużonego zbieracza i twórcy Albumu, który własną ręką zebrał cały, ogromny materiał i do końca życia troszczył się jedynie o wykończenie swojego dzieła.

Dochód z wydawnictwa przeznaczył s. p. Orda na stypendyum dla młodzieży gimnazjalnej w Pińsku, a zatem podwójny wzgląd przemawia za poparciem i uwieńczeniem przez czyn szlachetny jego spuścizny.

Kiedyś to „Album“ należeć będzie do osobliwości; dzisiaj i tak niewiele bogatszych i oświeconszych społeczeństw potrafi się poszczycić takim dziełem, zasługą, pracą i poświęceniem jednego człowieka dokonaniem.

„Album widoków Polski“, — to najpiękniejszy pomnik, jaki sobie stary weteran, artysta, muzyk i podróżnik nad grobem postawił.

Co prawda, należał mu się choć kamień mogilny od wdzięcznej potomności...

Na zakończenie, powtórzmy raz jeszcze życzenia wesołych i szczęśliwych Świąt Wielkanocnych w pełnej pogodzie serca, umysłów i — nieba wiosennego!

Etyczne stanowisko kobiety

W POEZJI NASZEJ.

(Dalszy ciąg).

GRAŻYNA.

Grażyna, *Piękna księżna*, to, obok Aldony, w Pantheonie poezji naszej kobiecej postać najwyższa: najwyższa przez podniosłość swoją, najwyższa jako natchnienie, siła wzruszająca, która z uczuciem społeczeństwa swego w najbliższy związek wchodzi i, stając mu się szczytnym moralnym piękną ideałem, żywemu życiu za wysoki pierwowzór służy. Roza Weneda to kapłanka, ofiar-nica w świątyni, istota prawie nad życie ziemskie podniesiona; Elsinoe jest ofiarą skalaną — nieszczęśliwą, lecz skalaną, na ołtarzu ojczyzny bogom piekielnym złożoną. Grażyna zaś przedstawia w naturalnym ludzkiego istnienia porządku kobiecość bohaterską. Jest ona żoną, jest kobietą u domowego ogniska, życie jej płyniełoby biegiem zwykłym, gdyby starcie okrutne wypadków nie zagroziło tej jej drogi spokojnej, tak, jak zagradza je po wszystkie czasy, jak za-

grodziło ją i dzisiaj tysiącom kobiet zwyczajnych. Ona przecież względem tej doli swojej niezwykajnie się stawia i ztąd cała tragiczność jej losu: mogła być tylko nieszczęśliwą, a stała się bohaterką: i to serca nam wzrusza, to je porusza, rozpłomienia—to czyni z niej ideał podnoszący duchy. Że była księżną, sprawy jej życia mają doniosłość wyższą i wyższy też, a raczej wspanialszy, poemat z nich się wiąże; ale uczucie, które tu działało, bije w piersiach tłumów milionowych: i ztąd kobiety całej powszechności naszej odnajdują w niej siebie, jako istotę czującą, porównywać się z nią mogą i w chwili wzruszenia, którym poeta przenika im serce, losy jej przed nimi roztańczając, żyją niejako w niej i coś z tego życia, przez geniusz poezji wytworzonego, zabierają potem ze sobą, przywłaszczając je na swój nabytek serca, na dobro swoje, swoje bogactwo moralne.

To zbogacanie duchowe ogółu czytającego wartość poematu o Grażynie niezmiernie podnosi i sprawia, że bardzo liczne głosy wśród publiczności naszej uważają go za arcydzieło literackie, należące do najcenniejszych klejnotów twórczości Mickiewicza. Można się na to zdanie nie godzić, ale przecież każdy uznać musi, że postać Grażyny jest wysokim ideałem kobiety, podwyższeniem jej nad sferę życia poziomą, dopuszczeniem do tego przybytku górnego, gdzie ludzkość na wysokim poświęcenia ołtarzu ofiary składa. Grażyna jest piękna, młoda, pełna sił żywotnych, które tak bujnie w niej kipią, że przy krosnach, przy przędzy, przy zwykłych zajęciach kobiety w komnatach zamkowych utrzymać się nie może, i obok męża na koniu siada, poluje, strzela, rycerskie zabawy z nim dzieli, więc życie śmieje się do niej skalą szeroką rozkoszy, przyjemności swoich, używania ich pełnego, gdy w tem zastępuje jej drogę przerażające widmo nieszczęścia. Mąż jej, jej Litawor, też dorodny, dzielny, rycerski, gorąco kochany, w zatargu z krewnym sobie księciem (Witoldem) w dumie swej obrażony, chce się łączyć z Krzyżakami, chce związany z wrogiem ojczystej krainy, celu swej zemsty, swej ambicji dosięgnąć, upokorzyć tego, który się ponad niego wynosił—chce stać się zdrajcą względem swoich braci, swoich bogów, względem wszystkich świętości swoich: więc serce szlachetnej niewiasty boleśnie rzuca się w piersi. Ale nie... ona tego nie dopuści. przeskodzi temu: uczucie najwyższego, najświętszego obowiązku, przez namiętną mściwość przygłuszone, w piersi mężowskiej obudzi,—i bieży z tem do niego wśród nocy, gdy już namiestnik księcia, głowa w jego radzie, pierwszy człowiek w jego zaufaniu, Rymwid, z niczem odprawiony został. Ufa w swoją władzę nad mężem, w swój wpływ na niego—w jego miłość i prośby swoje, ale są chwile, w których u mężczyzny nie ważą nic słowa, nie ważą nic łzy kobiety i teraz, niestety! wszystko to odbija się o pancerz zaciętości, którym Litawor pierś swoją otoczył. Dłużej prosić, dłużej błagać, byłoby daremnie i ona, podobnie jak Rymwid, nic dokonać nie może.

Nie może, a jednak musi! Cokolwiek będzie jak bądź będzie—to nic, byle nie było, jak być nie powinno. Męża od hanby ubronić, od zbrodni bratobójstwa, od apostazji uratować, to jej cel najwyższy, tak wysoki, że przed nim wszystko inne, co jest na świecie, maleje, zprzecz oczu jej znika. A czas nagli, rozpacz popycha: i Grażyna porwała się na rzecz ogromną—działa za męża, posły wstrętnego jej wroga odprawia; lecz los, z którym stanęła do walki, nie daje jej chwili wytchnienia i nawała krzyżacka, która była blisko, tak blisko, że w godzin parę stolicę księstwa ubiedzić mogła, rozżarta tem, że jej spodziewany łup wydarto, wali się teraz na nią. Straże znać o tem dają; nim wejdzie słońce dnia, który świta, już nieprzyjaciół do szturmowania stanęła, ale ona „niewiasta z wdzięku, lecz bohater z ducha“ dorasta do wielkości godziny, która na jej wezwanie wybiła i w potrzebie okrutnej chce się stać mężem. Chwyta miecz, zbroję Litawara, jego przyłbą śliczne lice zasłania, księcia przed wszystkimi udając, Krzyżaków uprzedzić bieży, w środek szeregów ich wpada, niczem—prócz słabości dłońi—kobiecy swej natury, kobiecej lekkości,

nerwowości, nie zdradza i ginie jak mąż dzielny, z pierśią od niemieckiej strzały przeszytą.

Powieść kończy się jakoby smutnie. Grażyna, *Piękna księżna*, zdaje się, że nie dokonała nic—nic, prócz tego przecież, co za najświętszy swój cel sobie postawiła. Ona umiera, Litawor przeżyć jej nie może, płomienie stosu trawia oboje, ale on nie ginie odstępca, nie kończy okrutną śmiercią moralną nędznego przeniewiercy i złączeni ze sobą na wieki w cudownym gmachu nieśmiertelności ojczystego podania, żyją jako ideał wysokiej cnoty i dzielnej siły, która dotrwała w nieszczęściu.

Jak poeta przez usta innego bohatera swego woła: „Ja upiór jestem, ja wstaję wieczorem, pierś braci rodaków gryźć muszę“... tak bohaterka tak jego mówić może: „Ja jestem anioł, anioł z szeregu tych, które Michał Archanioł wiódł za sobą przeciw szatanowi. Mam też miecz i zbroję, ale lica moje są słodkie pod hełmem, i piękna jestem, urocza jestem, przez wdzięk, to jest przez miłość, przez miłość mej tkliwości, przez poświęcenia mego gotowości i ofiarności moję dla ukochań mych serdecznych, kobiecym aniołem jestem, i dla tego przystępować chcę do siostrzyc moich kobiet na ziemi, by schyłone ich czoło podnosić, by im siłę, moc, dzielność w piersi szczepić i leki dawać na najcięższą boleść serca niewieściego—na cierpienie tego momentu, gdy to, co jest im droższe nad życie osuwa się ku upadkowi, chce popaść w grzech, w podłość, zatrutę ducha swego... Ja i Litawor mój zostaliśmy wybawieni ode złego przez to, że owe lekarstwo mocne zażyła—żem nosiła w sercu pierwiastek siły i dumy dobrej—żem umiała heroicznie stanąć złemu na poprzek drogi.

Poeta postać Grażyny tem wyższą i tragiczniejszą uczynił, że jej wśród męznego bohaterstwa cechy kobiecości—kobiecości braki i wady zostawił. Są u niej chwile słabości, gdy rachująca na zwłokę, nagle spostrzega, że burza nadciąga i natychmiast wybuchnie. Zmieszana, zapomina co czyniła, co mówiła przed chwilą; zamiar bohaterskiego czynu nie zaraz, nie odrzuca w jej umyśle powstał, w chwili niebezpieczeństwa nie wyskoczył jej z myśli, jak Minerwa z głowy Jowisza, jak iskra z krzemienia, gdy w nią stał uderzyć. Chwiejności, przełknięcia, zmieszania swego, nie jest zdolna w milczeniu zniesić; mówi, okazuje je, ale jest to moment tylko; potem „stanęła, milczy“ i w milczeniu tem namysł nad przedsięwzięciem jej się waży i tylko na pochylonem czole odbłask jej się przebija..

„Jakaś myśl jeszcze ciemna i daleka
W niepewnych rysach okaże się, mija,
I znowu wschodzi, całą twarz obleka,
Dojrzewa zamiar, staje się wyrokiem,
Już umyśliła.. postąpiła krokiem“.

Przepyszny, właściwie nie archaiczny, ale starą powagą, starą prostotą obleczonej język tego poematu, tak czytającego za serce chwyta, że bardzo znaczna liczba osób rozkoszując się tym stylem, tym tokiem poematu wspaniałym „Grażynę“ do rzędu arcydzieł poezji naszej wynosi. Ale my tutaj tę stronę rzeczy na boku zostawić musimy, bo nas treść sama *Pięknej Księżny*, jej myśli to co do niej poecie natchnieniem było, przede wszystkim zajmuje. Wiemy, że Mickiewicz przez lat kilka nosił się z obrazem, który tu skńczonym przedstawił. Maryą Wereszczakównę, najdroższą mu, najsilniej, najgłębiej kochaną przez życie całe kobietę, z którą rozdzieliła go przemożna siła losu, poznał w 1818 r., w 1819 drukował „Żywile“, „Grażynę“, w dwa lata później, czyli w chwilach, gdy przez gorącą serca własnego miłość, myśl jego młodzieńcza zwrócona przeważnie na kobietę, taki jej ideał sobie przedstawiała. Kochająca, silna, z uczuciem serca mocnem „jak śmierć“, o szlachetność, o godność, o zacność ducha w ukochaniu swem tak nadewszystko dbała, że dla tego wszystko ważył, wszystko temu poświęcić była gotowa—oto jego pierwowzór kobiety, typ szlachetny, w kobiecość swoją, jak w słabość, w miękkość, w niemoc moralną, nieupłataną, coś wyżej nad szczęście jednostkowej miłości

podnoszący, żyjący wśród współobywateli swoich z myślą i uczuciem obywatelskiem w piersi—czujący, rozumujący, od wyższych przeznaczeń ludzkość nieodcinający się przez płęć swoją. Mickiewicz chce widzieć w żonie przyjaciółkę i towarzyszkę mężczyzny. Grażyna jego jest z Litaworem „zjednoczona zabawą i trudem, osłoda smutku, współniczka wesela“, która z nim „nie tylko serce podziela, lecz myśli jego i władzę nad ludem“. Najważniejsze sprawy męża „częstokroć od jej zależały rady“. Przecież poeta nie pragnie czynić z niej *mężycy*; jak zostawił w rysach jej charakteru coś ze słabości kobiecej, tak przez tę mądrość trzeźwą, która nigdy, w chwilach najwyższego zapału, bo nawet w *improvizacji* „Konrada“, nie opuszcza Mickiewicza, dając mu zawsze takie panowanie nad przedmiotem, że już przedmiot opanować go nie mógł—przez tę mądrość silną i niezłomną, nie daje on Grażynie na szlakach działalności męskiej zwyciężyć, nie nachyla nad jej czoło pysznego kwiatu zwycięstwa wojowniczego, więc chwalił takiej na skroń jej nie kładzie. Ona właściwie mogła być do walki natchnieniem i podniecią, ale nie czynnym w niej działaczem; to, co się stało, to wyjątek i tragedia ze zbiegu nadzwyczajnych wypadków powstała, i dlatego Grażyna pozostaje zawsze i przeważnie kobietą; fizyczność jej, dłoń, jest słabą, rycerz, który się z niej stał, jest biednym rycerzem: „Cóż ztąd, że bije?—nikogo nie zabił“... Więc też Grażyna jest, nie bohaterką wojowniczego zapału, wojowniczego tryumfu, ale bohaterką poświęcenia, ofiarą miłosną. Rzuciła się w przepaść śmierci, nie dla tego, aby dokonać czynu rycerskiego męstwa, rycerskiej odwagi, ale, aby mężowi nie pozwolić na spełnienie rzeczy złej, pod wpływem namiętnego uniesienia powziętej a podtrzymywanej przez upór zaciętej woli.

Że tak było, on jej przeżyć nie był zdolnym. Dał jej pogrzeb rycerzy i bohaterów, bo zasłużyła sobie na to przez okazanie przymiotów ducha męzkich i tak, jak zwykle czynili to tylko mężowie, oddała życie za ziemię swą rodzinną. Grażyna umierała niby dla niego i nie dla niego razem; wzięła śmierć dla idei, która była wcielona w uczucia jej miłości dla męża, gdyż idea owa żyła we wszystkim, co to serce kobiety mieściło w sobie. *Piękna księżna* nie mogłaby była kochać podłego Litawora i umierać, aby on został szlachetnym.

„I długo płakał lud takiej ofiary“.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KTÓŚ POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Ręką zakreśliła koło jakieś w powietrzu stara Tatiana i sama łzy ocierając—zawróciła się do swej izby.

Takie było życie Horpińskiego na Rusinowym Dworze, i rzadko dzień przeszedł bez chmury, bez łzy, bez wyrzutów nawet. Horpynie się przywidywało, że syn tęsknił za miastem, że mu z nią nudno było. Chciała go napowrót wyprawić, kazała siodłać konia—naprzemiany odpychała go i porzywała namiętnym uściskiem. Potrzeba było niezmiernie cierpliwości i tego przywiązania, jakie Sylwan miał do matki, aby wyjść zawsze zwycięsko z tych walk, targania się i zmian rozbolejały kobiety.

Raziła ją czasem wesołość jego, niekiedy smu-

tek. Musiał być takim zawsze, jakiego ona mieć chciała w tej chwili—bo niezmierną litością serce miał przejęte.

Rodzajem rozrywki dla niego było, gdy, niekiedy zszedłszy się z parobkami, chorującymi tu także na tęsknicę po Ukrainie, słuchał ich opowiadań, starych kozackich podań i baśni. Lice Horpyny nigdy się prawie nie wyjaśniało, uśmiech na jej ustach nie powstał.

Przybywszy czasu żniwa, Sylwan, pod pozorem doglądania gospodarstwa, tym razem dłużej miał pozostać.

Nie wiedział, ani się mógł domyśleć nawet, że mściwy Emil Paczusi, zechce za nim gonić, pędzić go, i zamierzy spotkać się z nim, aby go na gorącym pochwycić uczynku—tajemniczej metamorfozy.

Dnia jednego, gdy Sylwan z Harasymem i Prochorem na polu był z robotnikami najętymi, między pomiędzy zbożem ujrzał zbliżającego się o kiju człowieka w słomianym, starym kapelusinie.

Był to Jacus. Sylwana po jego ubraniu od prostych parobków wcale odróżnić nie było można. Trafiło się, że stał z brzegu i zbliżający się ostrożnym krokiem przybysz—musiał się naprzód z nim spotkać.

Jacus po kilku kieliszkach wódki, którą pił dla ochłodzenia się, bo utrzymywał, że woda na żołądek mu szkodziła—był w humorze doskonałym i śmielszy, a mniej ostrożny, niż zwykle.

Zobaczywszy Sylwana, który był przysiadł na snopach, Jacus zbliżył się do niego, pozdrawiając poufale. Wszczęła się rozmowa nic nieznająca, wstęp do ważniejszej sprawy.

Długo się Jacus rozglądał na wsze strony, tarł głowę, zżymał i, naostatek przystąpiwszy bliżej, pochyliwszy się nad Sylwanem, zapytał go:

— Nie mogliby wy mnie powiedzieć, gdzie tu jest wasz pan, który przyjeżdża z Warszawy?

— Jaki pan?—odparł Horpiński—my tu żadnego pana nie znamy. My sobie wszyscy panowie! Jacus głową pokręcił.

— Ale do was jeździ z Warszawy jeden, kto go wie co on za człek—mówił Jacus—to wszyscy wiedzą!

— A na cóż ci on?—zapytał Sylwan.

Jacus był w humorze, który mu długo tajemnicy uchować nie pozwalał. Począł się śmiać. Przysiadł się na półkopku obok i namyślał, co miał powiedzieć.

— Mnie on na nic—rzekł w końcu—ale posłał mnie ktoś na zwiady.

— Któż to taki?—dodał powolnie Horpiński.

— Czort go wie. — Zkądś przyjechał już tu trzeci raz; pewnie się potrzebuje widzieć z tym—waszym.

I po chwili dodał:

— Młody chłopak, przystojny; przyprowadził z sobą konia. Jeździ po okolicy. rozpatruje, mówi, że chce ziemi kupić, a na coś mu trzeba tego waszego zobaczyć.

— Koń—jaki u niego?—spytał nagle Sylwan, któremu różne domysły chodziły po głowie.

— Koń kary, ładny—rzekł Jacus—ale z łysiną na łbie i jedna noga po pęcinę biała. O! dobrze mu się przypatrzyłem, bo ja koniska lubię i dawniej to się swoje własne miało.

Sylwanowi więcej nie potrzeba było. Znał tego kruczka z łysiną, na którym p. Emil Paczusi często się przejeżdżał po alejach. Był to więc on niewątpliwie.

Rozumiał tę złośliwą ciekawość, która tu go aż za nim gnała.

Pomyślał trochę.

— Ten, co czasem z Warszawy tu przyjeżdża—rzekł spokojnie—był ci, prawda, u nas, ale krótko i nazad powrócił, już go tu nie ma.

Wielkie oczy otworzył Jacus.

— Nie może być!—zawołał—niedawno był, ja pewno wiem.

— No—i niedawno ruszył napowrót—dodał Sylwan.

Jacus poprawił kapelusza.

— A! niech-że go, trzaśnie!—zamruczał, wstając z półkopka.—Nie ma go już...

— Niema!—potwierdził Sylwan, który także się ruszył z siedzenia i poszedł do robotników.

Mocno zmieszany, szpieg powłókł się się nazad do Garwolina.

Tymczasem Sylwan, przeszedłszy półko swoje, pogadałszy z Rusinami, najbliższą ścieżką pośpieszył do dworu.

Zastał tu matkę nucącą pocichu swoje pieśni, jak zawsze zadumaną i posępną. Powrót, trochę wcześniej, syna zaniepokoił ją; wstała, idąc na jego spotkanie.

— Cóż się z pola pośpieszył?—spytała, badając go oczyma.

— Nie miałem już co robić—odpowiedział syn, przyjmując uścisk, którym go witała, — a oprócz tego, matuniu—choć chciałem dłużej tu posiedzieć, dziś bodaj w nocy muszę odjechać!

Horpyna krzyknęła.

— Co tobie?

Zamiast odpowiedzi, Sylwan ją pocałował po rękach całować.

— Klamać przed rodziną, nie mogę—rzekł:—W mieście mam dużo zazdrosnych, co mnie radzi szpiegują i nie wiem o co podejrzewają. Zdaje się, że jeden z nich przyjechał aż tu, aby mnie zobaczyć w siermiędze i potem rozpowiadać o tem po świecie. Nie chcę mu uczynić tej przyjemności, żeby mnie złapał; muszę więc odjechać w nocy.

— A tyś się jak o tem dowiedział?

Sylwan, śmiejąc się, opisał matce swoje spotkanie z Jacusem.

W kobiecie się wszystko zburzyło. Śmieli więc ludzie Sylwana podejrzewać, podpatrywać i chcieć mu szkodzić! Zaciskała kulaki z gniewu, twarz jej zapłonęła.

— Idź zaraz—rzekła. Nie! nie chcę, aby oni cię w siermiędze widzieli... Tego nie trzeba... a tego lotra, jeżeli Harasym z Prochorem będą mogli pochwycić, należałoby, aby mu dobrze plecy wyprali!

Od tej chwili Sylwan spokoju nie miał; kazała podać śpiesznie wierzchowca; Tatianę posłała zasypać koniowi w stajni obroku; gdyby mogła, sama by go może osiodłała.

Chodziła, mruczając, podrażniona i mściwa.

Zaledwie zmierzchać się mocniej zaczęło, a księżyc tylko-co się podniósł nad lasy, gdy Sylwanowi przyprowadzono przed ganeczek wierzchowca.

Matka szła za nim, płacząc i żegnając krzyżem świętym.

Jeszcze raz do piersi przycisnęła go w prog.

— Jedź—zawołała—a jeżeli znasz tego laszka, co się na ciebie porywa—nie daruj mu! Niech-by on wpadł w moje ręce!

Tatiana, która wiedziała o wszystkim, bo Horpyna jej zwierzała się ze wszystkiego, ścisnęła i podniosła do góry dwie silne pięście. I ona gotowa była stanąć w obronie Horpińskiego, którego niemniej od matki kochała.

Sylwan pogardliwie się uśmiechał, słuchając pogrozek.

— Matuniu—rzekł—to taki chrząszcz, na którego ręki szkoda... Nie warto się z nim zadzierać. Niech się tu sobie pobawi, mnie szukając.

Otwierano wrota; Sylwan pokłonił się raz jeszcze i, konia spiąwszy, pojechał.

Jacus, tak niefortunnie spełniwszy swe poselstwo, nie bardzo śpieszył z powrotem do miasteczka, gdzie na niego, nudząc się, Emil Paczusi oczekiwał.

Nudy pieszczoszka doszły do tego naprężenia, że wyszedł na próg gospody Pinkusa i przypatrywał się rynkowi, na którym kilka wozów, kilka obdartych postaci, wcale nie malowniczych, bodaj parę setek chudego bydła, widać tylko było. Ziewał co chwila, a spać we dnie—zdawało mu się złą rachubą, bo noc bezsenna mogła być od dnia jeszcze trudniejszą do przeżycia. Dostęć późno, podchmielony, zjawił się Jacus, oświadczając, że dotarł do źródła, że z ludźmi mówił i dowiedział się o tem, jako Warszawiak do Warszawy powrócił.

Emil, rozgniewany, wierzyć temu nie chciał. Zdało mu się, że Jacus się napił, dzień przespał

gdzieś, do miejsca nie dotarł i chciał go zbyć prosto kłamstwem.

Obszedł się z nim dosyć grubiańsko, czego znowu nasz polyhistor nie lubił: znał on i umiał szanować godność swoje.

Pokorny dotąd — nastawił się szorstko Paczusiemu. Już miało przyjść do wcale nieprzyjemnej zamiany słów coraz dobitniejszych, i pomarszczona twarz Jacusia zabarwiała się ceglasto, gdy nadchodzący Pinkus kilku słowami odprawił posła, a Paczusię uspokoić potrafił.

Emil, który już i czasu dosyć stracił i namęczył się niewygodami, na to aby móżdż powrócić z niczem—postanowił nazajutrz jechać sam próbować szczęścia. Zdawało mu się, iż może spotka w polu Horpińskiego. Był to krok ostatni.

Nie brał już i nie potrzebował przewodnika i oryentował się łatwo.

Wistocie — aż na pola Rusinowego Dworu dojechał dosyć szczęśliwie, ale tu Harasym z towarzyszem zastąpili mu drogę i stanowczo oświadczyli, że nie lubią, aby im się tu obcy ludzie po polach wałęsali.

Barczyści i silni parobcy wyrazili się tak kategorycznie, okazując drogę nazad Paczusiemu, iż się z nimi sprzeczać nie śmiał.

Usiłował ich udobruchać datkiem, ale rubel wyjęty z kieszeni—nie został przyjętym i jeszcze Emila wysmiano.

Odjechał więc, jak zmyty—przeklinając własny pomysł, niezgrabstwo swe, a nadewszystko tego, który był przyczyną wędrowki, prawdę rzekłszy, śmiesznej.

Nie było już tu co robić. Paczusi puścił lejce, dobył cygaro i jechał z powrotem, pozwalając koniowi wybierać sobie drogę.

Zadumał się głęboko o tem zuchwalstwie prostych ludzi, gburów, którzy śmieli z paniczka takiego jak on, na ładnym koniu, sztydzić i naigrawać się z niego.

— Koniec świata!—pomrukiwał Emil. Karuszek tymczasem nad drogą oskubując z gałęzi listki zielone, powoli — instynktowo kierował się ku stajni. Do miasta było jeszcze daleko. Zmyślne stworzenie znalazło naprzód rodzaj gościńca, którym wygodniej mu było iść, niż po roli, potem zarządził i pociągnął się małego kłusa.

Paczusi głaskał je po karku, i cieszył się ze swego wierzchowca—puszczając dym z doskonałego cygara: gdy nagle znajomy głosik srebrny rozległ się wesołym dźwiękiem.

— Stój pan, aresztuj!...

Zrządzenie losu widocznie Karuszka i jego pana zaprowadziło na tę drożynę pod ogrodem w Brzózkach, po której z drugiej strony, za przekopem, przechadzała się piękna pani Bończyna.

Oczy miała nadzieję spotkać się raz jeszcze z Emilem?—trudno dociec, lecz to pewna, że spotkaniu była rada.

— Ale jakże pan śmiesz Brzózki pomijać?—zawołała. Jedź pan natychmiast do wrót, przez wrota w dziedziniec, do dworu, do ganku, a w salonie znajdziesz mnie jako surowego sędziego, przed którym musisz stanąć i tłumaczyć się.

Emil słuchał, z podniesionym do góry nad głowę kapelusikiem — uśmiechał się, a że wdówka znikła, więc, nie czekając odpowiedzi, pokłusował wedle jej rozkazu do wrót i spełnił co mu zalecono.

W saloniku, trochę pośpiesznym biegiem zadychana, stała Bończyna. Paczusi dosyć niezgrabnie się przed nią tłumaczył: dlaczego dotychczas będąc w okolicy, nie miał honoru się jej pokłonić, poprzysięgając, że nazajutrz byłby tego nieochylnie dopełnił.

— Więc stanowczo chcesz pan tu coś nabywać?—zapytała wdówka.

— Waham się—rzekł Emil—który pośpieszył do wtaczającego się krzesła sędziny, aby ją powitać.

— Ja—mówiła gospodyni—powinnabym pana do tego zachęcać, bo sąsiedztwo mamy bardzo niedobre i niesmaczne—ale...

Pokręciła główką, popatrzała Emilowi w oczy, i dała sędzinie rozmowę na inny przedmiot obrócić.

Co się działo z biednym Paczuskim, co rozrywało głębię jego duszy—tego trudno będzie określić.

Chociaż nie wierzył w przeznaczenia, w „igrzyska losu“ i t. p., zdumiewało go to jednak, że jakoś los ten narzucał mu uparcie poraż drugi śliczną wdówkę—jakby mu chciał wskazać, iż... powinien się być lepiej jej przypatrzeć i lepiej ją ocenić.

Była piękna, miła, dobrze wychowana, nie uboga—a wdowieństwo nie odebrało jej ani świeżości, ani młodości. Pomiedzy nią a Maniusią, której Emil całkiem zapomnieć nie mógł, był pewien rodzaj podobieństwa. Dlaczegożby „na złość niewdzięcznej dziewczynie“ nie miał się z nią ożenić?

Myśli to były przelotne, bo rozmyślanie wogóle nie dozwalała się rozpościerać nader żywa rozmowa i wesole szczebiotanie gosposi.

Podano herbatę. Paczusi się też rozchmurzył, oboje przycinać sobie zaczęli, dowcipować, śmiać się, a sędzina też, spoglądając na nich, usta do uśmiechu składała, tak się jej ta para zdawała dobraną. Emil rozgadał się niepotrzebnie. Wydobyła z niego nawet piękna Bończyna, iż pewien rodzaj współzawodnictwa salonowego, w interesie towarzystwa, do którego Emil należał, skłonił go do szpiegowania podejrzanego Horpińskiego.

Obie kobiety, słuchając wyznań, nadzwyczaj zostały zdumione.

Raz na tę drogę wszedłszy, Paczusi się już cofnąć nie mógł,—musiał wyśpiewać wszystko.

Wdowa teraz rozumiała: dlaczego się jej wydało, że widziała parobka, który tak Sylwana przypominał.

Ale cóż za straszna tajemnica tkwiła w Rusinowym Dworze?

Paczusi odgadnąć jej nie mógł, powtórzył przypuszczenia Konrada.

Sędzina i jej córka spoważniały.

— Ale—panie Emilu — odezwała się Bończyna — ja się często w towarzystwie spotykałam z Horpińskim! Jest to człowiek najlepszego wychowania, bardzo miły, majątny, wykształcony—czyż podobna go o coś podobnego, jak fałszerstwo monet posądzać?!

Zarumieniła się mocno i trochę oczy spuściła.

— Daleko naturalniej przypuścić, że — może mieć tu... jakąś pasyjkę—rzekła zawstydzona.

— Nie—odparł Emil—bo we dworze niema nikogo, nad dwie stare baby—o tem wiem jaknajpewniej.

Każda tajemnica nęci ludzi, a piękne panie szczególniej rade-by je odkrywać. Bończyna była mocno zaciekawioną — ale, pomimo wszystkich danych, jakie zdobył Paczusi, jeszcze się jej nie chciało uwierzyć w to, ażeby Horpiński mógł się tu część roku ukrywać.

Stary sługa sędziny, który za jej krzesłem stał z serwetą, (a nie zważano na niego), w tem miejscu rozmowy, z poufałością wiernego domownika, zabrał głos.

— Jaśnie państwo darują, że ja się tu wtrącam — ale to pewna, że w tym Rusinowym Dworze—nie ponaszemu inie poludzku żyją... a z Warszawy wistocie do nich zjeżdża ktoś taki, co się zaraz przebiera pochłopsku i żyje potem, jak parobek.

Rok temu wzięli byli Marysię, — pani wie, od Stawrowej sierotkę — chcieli z niej sobie sługę wychować, ale nie wytrzymała. Dziecko niby było zahukane, głupie, to się go nie wystrzegano. Napatrzyła się tam dosyć—a teraz opowiada.

Ciekawie zwrócili się oczy wszystkich na starego Filipa, który powoli, odchrząknawszy, mówił dalej:

— Rej tam, słyszę, wodzi stara jejmość, prawdę rzekłszy, prosta baba, zła, niecierpliwa i ustawicznie lamentująca. Druga, starsza jeszcze od niej, niby to sługa, ale się tak z nią obchodzi, jakby jej równą była. Parobków dwu, Rusinów.

Ruszył ramionami p. Filip.

— Ten, co tam przyjeżdża z Warszawy, czy niewiadomo zkad — przebiera się za parobka, i idzie w pole z innymi, choć ręce ma białe.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KRÓL AGIS

DRAMAT HISTORYCZNY W 3-CH AKTACH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

podał

Henryk Biegeleisen.

*AKT II.

(Dalszy ciąg).

*SCENA XIII.

*Arcezylausz

Co robić! człowiek ten, Dendery ziolo, Zawraca głowę Sparcie. Póki żywy, Zawsze zwan będzie człowiek sprawiedliwy I wielki, a ja przy nim sługa podły. Sługa! dlaczego? Nie z tychże ja członków, Co on? nie z tych-że myśli ducha biorę? Któż mi nałożył dziwną żywota podpórę, I służalstwo? Nie jest-że to piekielna kara Być flaszą, w którą Bóg nalał podłości wina! Tak, że to każdy wacha—choć człek nic nie gada, Myślom się nawet brudnym przechadzać za-
[broni

Po pustem sercu, jednak... kto to jest? cień?
[mara?...]

*Duch

Patrz, ten kobierzec i ta złota czara....

*Arcezylausz

Te, co do króla Agisa należą?

*Duch

Jutro on trupem!....

*Arcezylausz

Stój! w gaju oliwnym Zniknął. Kto to jest? Ho! Spokojnie leżę Psy w chatach, a ten człek z szelestem dziwnym Przeszedł—o czarę potrafił, przechodząc. Pójdę za nim.
(Pauza).

*Chorus

O! jakże małą się rodząc Jest zdrada, jakże prędko w wielkie rośnie
[drzewo—

Do wybuchu przychodzi i do błyskawicy! Zaprawdę, że najmniejsze nasienie gorczycy, Ale jeśli karmione ziemią i ulewą, Taki ma wkrótce pałac zieleni 1) na głowie, Że w nim nawet niebiescy mieszkają ptasz-
[kowie.

*SCENA XIV.

*Chorus

Ta jedna życie mężowi ubłaga I ojca zmiękczy. O! żalosne czasy, Że we łzach nawet żony jest odwaga, A lży są jako Wenusowe pasy I wiążą kobiet spartańskich tuniki, Tęczą plectioną w gwiazdy i ogniki. Oto Neptuna gmach, gdzie król schroniony Obaczył teścia 2) własnego i katy,

1) „zrówna przerasta gaj“.
2) „Boi się teścia“.

I spuścił oczy przed oczyma żony, Którą pogardził, mając berło, światy.... 3) A ona ojca swego porzuciła, I tu nad mężem, jak wierzbą pochyła 4), Stoi, włosami go okrywwszy swemi— Na ziemi cała, kiedy mąż na ziemi.

Chelonida

Ojcie! choć gwałcisz świątynię Neptuna, A śmiercią grozisz mojemu mężowi.

Wysłuchaj, co ci córka twoja powie, Twoja—a twoja, boś mi za piastuna Był, kiedyś, ojcie mój, błdził wygnany,

I szukał w lasach Tegei schronienia— Jam u pastuchów biednego płomienia Siadała z tobą, patrząc na łachmany 5), Strudzone twoje nogi łkaniem myła, 6)

I memi włosy, pomnisz, ocierała. Co więcej, byłam, jak Hekuba, cała W psa przemieniona i na mężam wyla,

I sławę jego gryzła i wspomnienie... Jeżeli jakie mi rzucił z litości,

Tom ja pamiątkę jego, pełna złości 7), Gryzła jako pies, gdy się na kamienie 8) Pastucha wściekły obróci i chwytą,

I zęby na nich połamie i zgrzyta.... Lecz tu—ah! ojcie mój—tu ja, kobieta,

Tu między twoją a męża koroną, Już mi nie wybór, już nie własna wola, Tu męża mego zwycięża niewola,

Tu ja nie córką jestem, ale—żoną! 9) A co mi łatwiej jest, że z tą żalobą, W którą mię twoje nieszczęście oblokło,

W ubraniu, które łzami tak przesiąkło. Kiedym ja, córka, płakała nad tobą, Teraz tu jako suplikantka stoję, 10)

Lecz niepoznana może, cała drżąca, Łaski u ciebie żalosnej prosząca, Abyś pamiętał na ubiory moje.

O nie chciej 11), aby żaloba tasama I to śmiertelne moje 12) prześcierało, Kiedy nieszczęście, ojcie, z ciebie spadło,

Zostały na mnie jako cień i plama, Podwójnej nędzy świadki, ojcie drogi! Jeśli ty, sam się o królestwo nowe Starając, męża mego bierzesz głowę,

Toć właśnie i świat przekonasz i wrogi, Szarpiące sławę twoją i zamiary, Że mąż mój prawo miał z garsteczką młodzi

Bunt podnieść—jeśli wszystko ci się godzi Dla tej korony, nawet czarne mary W ten święty 13) kościół wnieść ręką zdra-
[dziecką,

Wygnąć ztąd stróża Neptuna anioła 14) I wynieść mary shanbione kościoła, I na tych marach widzieć własne dziecko,

Bo ja tu 15) weszłam leż wszelkich niewinną, I suplikantką tu weszłam podróżną, A już nie wyjdę ztąd od męża różną,

A jeśli trupem on, nie wyjdę inną, Jak trupem—to przysięgam na Neptuna!

*Leonidas

Podeszłaś mię ty. Myślałem, że cała Żółta, napięta, jako luteń struna, 16)

3) „Którą miał wrogiem, w sławie i bogat“.

4) „A teraz—w czasach“.

5) „I nóg twoich rany“.

6) „ja sercem myła“.

7) „Tom ja za pamięć pełną złości“.

8) „Rzucała jako suka, co gryzie kamienie“.

9) Ostatnich sześć wierszy wstawiłem w text, chociaż są przekreślone, natomiast dałem poprawki do wariantów. Miejsce to brzmi w autografie:

„I zęby na nich... połamie,

„A jeszcze raz się obejrzy przez ramię,

„Szczekanie... i w ząb zazgrzyta.

„Tak ja, na męża mego urażona,

„Szczekałam i w tym była moja wola,

„Lecz teraz męża mego niedola,

„Już mię nie córką robi, ale żoną“.

10) „Teraz mi służy: biednej suplikantce“.

11) „I nie chciała“.

12) „Nie spada ze mnie—grubu“.

13) „Przed córką (Przed drzwiami)“.

14) „Bogom tu wydrzeć, suplikanta Bogów, Wypędzić ludzi“.

15) „Bo ja się“.

16) Następuje wiersz przekreślony:

„A przeto gniewem wyrasta, jak...“

Przeciw mężowi twemu będziesz stała,
Świadkiem sądowym, krzywd własnych mści-
[cielką, 17)

A nie, to, milcząc jak ludzka mogiła,
Zasłaniesz duszę mu 18): tyś położyła
Głowę na jego głowie, z taką wielką
Burzą leż na mnie, przeciw mnie wypadła, 19)
Że ja.... cóż ja mam z tobą? z twemi łzami, 20)

Z żalobą, z temi białemi kwiatami,
Wienca, któryś ty wczora kozom 21) kradła,
Na skałach pustych włócząc się jak one?

O! czemu tyś mię tu podeszła zdradnie,

Wiedząc, że miecz mi ten z ręki wypadnie,
Że oczy łzami będą zagazzone,
Że będę musiał uciekać z kościoła,

Wstydząc się mojej litości w tęsknocie,
Jakby muzyką złaman. Kleombrocie! (zwracając się do Kleombrota)

Precz ztąd! a w Sparcie nie pokazuj czoła,

Póki ja żyję. A ty, Chelonido,

Chodź! Dlaczego zaperlasz powieki? 22)

*Chelonida

Bo, ojczy, ciebie ja żegnam na wieki!

*Leonidas

Co?

*Chelonida

Moje nogi znowu w podróż idą.

*Leonidas

Nie ze mną?

*Chelonida

Ojczy, nie!—znów do Tegei.

A już teraz bez żadnej, mój ojczy, nadziei,

Ani prośby do Boga, abym tu wróciła;

Boś rzekł, że nas zawoła tu twoja mogiła....

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Marcu 1884 r

Walne zgromadzenie delegatów Towarzystwa Kredyt. Ziems.—Rada Ogólna Towarzystwa Gospodarskiego.—Kółka rolnicze.—Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych.—Przemowa Leszka Borkowskiego.—Wykład p. Wierzbickiego „O koronkarstwie”. Roboty pończoszkowe maszynowe.—Wystawa rzeźb i ornamentów pokojowych Szimsa. Deklamator Konopka.—Nowa rościs Rogosza: *Dzisiejsi bohaterowie*.—Biblioteka „Mrówki”.—Publicystyka miejscowa.—Jubileuszowe przedstawienie w teatrze na cześć Jana z Czarnolasu.—„Odprawa posłów greckich”.

Zazwyczaj w drugiej połowie Lutego z zamknięciem starego roku, zwoływane bywają walne zgromadzenia rozmaitych stowarzyszeń, aby wysłuchać sprawozdań i bilansów rocznych i wytknąć drogę dalszego na przyszłość postępowania. Mielśmy tedy najpierw walne zgromadzenie delegatów Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, najpoważniejszej i najsilniej utrwalonej instytucji finansowej w kraju. Zgromadzenie było bardziej niż kiedykolwiek ożywione; szło bowiem, oprócz spraw innych, potocznych, o wybór wice-prezesa i jednego dyrektora; rozwinęła się zatem jak zazwyczaj w takich razach żywa agitacja za każdym ze współubiegających się kandydatów. Wnet po walnym zgromadzeniu

Towarzystwa Kredytowego zgromadziła się roczna Rada ogólna Towarzystwa Gospodarskiego, a następnie w dni parę walny zjazd delegatów „Kółek Rolniczych”, tego najmłodszego ze wszystkich naszych towarzystw, wprowadzonego w życie dopiero od roku pod skrzydłem Towarzystwa Gospodarskiego. Małoktóra kiedykolwiek instytucja rozwinęła się tak pomyślnie, jak „Kółka Rolnicze” w Galicyi, a to z powodu realnych korzyści, jakich członkowie jej doznają. Celem stowarzyszenia „kółek” tych jest podniesienie gospodarstwa włościańskiego na stopę odpowiednią wymaganiom tegoczesnego rolnictwa, stosownie do położenia włościan i ich zasobów. W tym celu dostarcza centralny zarząd towarzystwa włościanom należącym do „kółek” za pomocą tychże, narzędzi rolniczych na spłatę ratami, umówiwszy się w tym względzie z fabrykami maszyn i narzędzi rolniczych; dostarcza również tymczasem sposobem rozmaitych nasion pastewnych i zboża na zasiew; rozsyła za pośrednictwem tutejszego Towarzystwa ogrodniczo-sadowniczego szczepy drzew owocowych dla rozpoznania sadów po wsiach; posyła na żądanie bezpłatnie ludzi gruntownie w gospodarstwie wyszkolonych na lustrację gospodarstw włościańskich, dla dawania, po zbadaniu tychże, stosownych wskazówek włościanom, jakie należy wprowadzić zmiany i ulepszenia w gospodarstwie odpowiednio warunkom miejscowym gleby i t. p. Tym sposobem na praktycznej podstawie, na przykładzie oparta nauka rolnictwa przyjmuje się najłatwiej, i do rozpowszechnienia zdrowych pojęć o prowadzeniu gospodarstwa się przyczynia. Zajął się zarząd centralny, pomiędzy innemi, także zachętą i ułatwieniem zakładania po wsiach przez „kółka rolnicze” wspólnym funduszem sklepików, dostarczających członkom wszelkich potrzeb gospodarskich. Są to wszystkie potrzeby za nadto w oczy bijące, ażeby nie miały przekonać włościan o użyteczności „kółek”. Jakoż garną się do nich coraz chętniej; i oto jest już obecnie sto sześćdziesiąt „kółek” czynnych i kilkanaście sklepików otwartych. Zjazd tegoroczny liczył przeszło trzysta delegatów ze wszystkich okolic Galicyi, przeważnie włościan, tudzież kilku księży i nauczycieli ludowych. Zgromadzenie obradujące przez dwa dni zajmowało się wyłącznie przedmiotami rolniczymi, pomiędzy którymi bardzo zajęli żywą wywołał dyskusyą wykład radcy namiestnictwa Orleckiego: „O komasacji gruntów” wykazujący oile komasacja przyczyniłaby się do podniesienia rolnictwa, torując drogę do zaprowadzenia postępowego systemu gospodarstwa, tak u posiadaczy większych, jako też u włościan. Zajęcie, z jakim się przysłuchiowano przez cały czas tokowi obrad, zdrowe zdania objawiane w ciągu tychże przez włościan, w przedmiotach dotyczących stosunków rolniczych krajowych, świadczyły o rozwiniętej inteligencji i najlepszych chęciach delegatów. Czas wolny od obrad spędzono na zwiedzeniu kościołów i osobliwości Lwowa, mianowicie muzeów Zakładu im. Ossolińskich i przemysłowego, Wysokiego Zamku i t. d. pod przewodnictwem wyznaczonych ku temu członków komitetu.

Ostatniemi zrzędu było walne zgromadzenie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, zagajone krótką tym razem przemową prezesa towarzystwa Leszka hr. Borkowskiego. Z odczytanego sprawozdania dowiedzieliśmy się, że wystawę tegoroczną zwiedziło 3,600 osób, i że wykazała ona ostatecznie czterysta kilkadziesiąt guldenów nie-doboru, które towarzystwo z funduszu swoich bieżących, z rozprzedaży akcyi, pokryć musiało. Co gorsza: artyści nasi coraz mniej okazują chęci przysyłania dzieł swych na wystawę, co sprawozdawca przypisał głównie nieumiejętnej krytyce tutejszych dzienników, która ocenieniem niesłusznem, pomijającem nieraz najznakomitsze dzieła milczaniem, a obsypującym niezadowolonymi pochwałami rzeczy mierne,—zraża artystów i wprowadza smak publiczności na mylne drogi. Że mimo tego towarzystwo lwowskie sztuk pięknych utrzymuje się i nie traci akcyonaryuszów, zawdzięczać to należy głównie zapobiegliwym staraniom, członka komitetu p. Grelińskiego, który cały ciężar administracji na swo-

ich barkach dźwiga, i objawiając ją, zachwiany przed laty kilku budżet towarzystwa do pożądanej przeprowadził równowagi. Piękny pogląd na zadanie towarzystwa sztuk pięknych rozwinął w przemowie tegorocznej prezes Leszek Borkowski, który-to ustęp przytoczyć tutaj sobie pozwolę. Oddawszy cześć należną pamięci dwóch zmarłych w ciągu roku członków: s. p. Józefa Jakubowicza i Kopertyńskiego, określił ogólnikowo następującemi słowy zasadnicze sztuki pojęcie:

„Moc ducha ludzkiego stanowią trzy siły, z których każda zosobna jest niewystarczającą, ale które w połączeniu tworzą całą potęgę, do jakiej ludzkość jest zdolna. Siłami temi są: rozum, sztuka i doświadczenie. Dwie pierwsze—przyrodzone, trzecia — nabyta. Jak Bóg upostaciował człowieka z gliny, a była to martwa modła, nim ją tchnieniem swoim ożywił, tak rozum buduje z doświadczenia umiejętności, którym sztuka dopiero udziela życia i ciepła, blasku i wdzięku.

Wykończeniem mowy ludzkiej jest śpiew i muzyka. Umysł człowieka posiada właściwą sobie samodzielną zdolność rodzenia myśli i wyobrażeń niezawisłych od doświadczeń, to jest ideałów. Wykończeniem każdej myśli jest obraz. Wszystko, co tylko jest, cały świat fizyczny i duchowy, jest wizerunkiem pewnej myśli. Książki nasze są tłumaczeniem z jednej powszechnej mowy na różne języki narodowe. Pismo, jako rysunek tonów, jest ogniwem łączącym muzykę z malarstwem. Malarstwo znowu jest wykończeniem płaskorzeźby, bo przez grę światła i cieni czyni bliskość i odległość namacalną prawdą dla oka, kiedy płaskorzeźba zaledwie domyslać się ich pozwalała przez środki bardzo niedostateczne. Rozwinięcie tych pojęć zasadniczych mogłoby być przedmiotem obszernego wykładu; ale na teraz chodź mi tylko o to, aby wykazać, że sztuki piękne są owem tchnieniem ożywczem, które, przenikając całą istotę ludzką, uzupełnia wychowanie narodowe. Spełnia zatem towarzystwo nasze zadanie cywilizacyjne i wiele mu na tem zależeć powinno, aby utrzymało się na wysokości swego powołania.”

W szeregu odczytów zimowych, urządzonych przez Towarzystwo Pedagogiczne, najbardziej może zajęły świat niewieści, dla którego szczególnie są przeznaczone, dwa odczyty p. Wierzbickiego o koronkarstwie. Wyłożył on treściwie, najpierw dzieje koronkarstwa, a następnie techniczne wyrobiania koronek sposoby. Świat starożytny znał rozmaitego rodzaju przejryste tkaniny, a strojnisię u Greków i Rzymian, lubowały się w nich, podobnie jak w koronkach—dzisiejsze panie. Wszelako tkaniny tamte różniły się od koronek nowoczesnych, które dopiero w wieku XVI-tym wyrabiać zaczęto, a które upowszechniły się w świecie mody i weszły w używanie głównie we Francyi za czasów Ludwików, kiedy-to zarówno kobiety, jak mężczyźni, koronki za najszustszą i najżytkowniejszą ozdobę stroju przyjęli. Skreśliwszy dzieje koronki, wyliczył prelegent rozmaite ich gatunki i sposoby wyrobiania. Dwa są główne warunki, stanowiące o piękności i wartości koronki, mianowicie: rysunek wzorów i wykonanie. Najpiękniejsze i najdroższe bywają koronki walencyjskie (*Valenciennes*), francuskie, dalej idąc brabancje, włoskie, hiszpańskie jedwabne, złotem przetykane i t. p. Odmienne sposoby wyrobu i charakterystyczne różnice wszystkich wymienionych rodzajów koronek wyluszczył p. Wierzbicki szczegółowo, objaśniając wykład wzorami stosownie dobranymi. Poznajomiwszy się z całą tą subtelną a nadzwyczaj pracowitą techniką, przypatrzwszy się, ile tysięcy razy potrzeba każdej nitki dotknąć i klocków przesunąć, ile potrzeba czasu, pracy i oczu na wyrób jednego centymetra pajęczej jak mgła tkaniny, przestajemy się dziwić drożyznie tego zbyt drogiego nad inne przedmioty, a zdumiewamy się raczej nad pracowitością i cierpliwością tych, co się pracy tej poświęcają. Przyjmując atoli koronkarstwo zbyt kosztowne, należące, że tak powiem do smakoszoństwa mody, będące jej wykwinnym kaprysem,—wyrób koronek nicianych należący do zakresu przemysłu domowego, może się rozpowszechnić u nas z wielkim pożytkiem, dostarczając zarobku ubogim pracownikom, a z drugiej strony, przyczyn-

17) „Przypomnisz mi czarność i zdradę”.

18) Te trzy słowa przekreślone włożyłem w text.

19) „Wybiegła”.

20) „Co ja mam z tobą, z krzykiem twoim, z łzami?”.

21) „Owcom”.

22) „Chodź! bądź dla mnie aniołem opieki. I cóż? chodź! zba-
wiłś męża”.

niając się do podniesienia ozdoby stroju u warstw społecznych średniej zamożności i u ludności wogóle. Nie mówimy tu o pajęczynach brabanckich i walencyjskich, lecz o takich, jakich wyrabiać uczą w niedawno pozakładanych u nas szkołach koronkarstwa w Wiązowej, Pieniakach i innych; o takich, które przy umiarkowanej swej cenie mogą stać się powszednim strojem ozdobięszego przedmiotem. Takie koronkarstwo może się u nas przyjąć i niejednej uczciwej robotnicy dać chleb w rękę.

Podobnie roboty pończoszkowe maszynowe dostarczają u nas zarobku coraz znaczniejszej liczbie oddających się zajęciu temu kobiet. Dawniej wszystkie tego rodzaju wyroby sprowadzano z zagranicy, z Wiednia; obecnie mamy już trzy pracownice we Lwowie, mogące wyrobami swemi zaspokoić wielką część potrzeb miejscowych, a gdyby cała publiczność zechciała się zaopatrywać w wyrób krajowy — natenczas i te trzy mogłyby się bardzo rozszerzyć, a obok nich więcej jeszcze nowych-by powstało. Wyroby pończoszkowe panny Teodorowiczówny i pani Podolskiej nie ustępują zagranicznym; przeciwnie, pod względem dobroci materiału i dokładności wykonania, można im śmiało przed bardzo wielu zagranicznymi przyznać pierwszeństwo. Najdawniejsza i najwięcej rąk zatrudniająca jest pracownia p. Heidenreicha, istniejąca od lat przeszło dziesięciu. Znajduje się w niej kilkanaście maszyn ręcznych wruchu, systematu najnowszego, bardziej udoskonalonego od maszyn Lamba, i pracuje przy nich stosowna liczba ukształconych dobrze robotnic. Najwięcej trudności miał p. Heidenreich do zwalczania, aby otworzyć drogę zbytu swemu towarowi: zniewolony albowiem używać do tego pośrednictwa kupieckiego, oddając w handel swe wyroby, musiał tak wielki odstępować rabat, iż ten pochłaniał znacznie większą część zarobku. Aby ratować pracownię swą od cisnącego ją tym sposobem monopolu kupieckiego, otworzył obecnie przy pracowni własny sklep swoich wyrobów pończoszkowych i zapewnił przez to owiele pomyślniejszą przyszłość swemu przemysłowi. Nie płacąc kupcom haraczu za pośrednictwo w sprzedaży towaru, będzie mógł tamsam po znacznie przystępniejszej sprzedawać go cenie, na czem zyska publiczność, a zarazem i fabryka przez zwiększenie obrotu.

Gdy już jesteśmy w pobliżu świata kupieckiego, zajrzyjmy na chwilę do nowo powstałego sklepu rzeźb artystycznych p. Szimsa, przeznaczonych do ornamentyki salonowej. Dotąd zajmował się p. Szimsa wykonywaniem nagrobków z kamienia i marmuru; posiada on wielką pracownię istniejącą od lat wielu, z której pochodzą najpiękniejsze pomniki na tutejszym Cmentarzu Łyczakowskim. Po większej części są one z marmurów krajowych, a w wykonaniu poznać łatwo wprawna rękę artystycznie przysposobianych robotników, których p. Szimsa z Włoch sprowadza. Pamiętne są Lwowianom płaskorzeźby mitologiczne, przedstawiające szereg scen z Iliady na fryzie pałacu niegdyś Chołoniewskich, później Młockiego, który zwałono, przeznaczony plac po nim pod budowę nowego gmachu Namiestnictwa. Piękne te grupy, odnowione przez pana Szimsa, zwróciły uwagę publiczną i świadczyły o artystycznym wykształceniu dłuta i smaku, przechodzącym miarę powszedniego kamieniarsstwa. Później otworzył Szimsa stałą wystawę nagrobków marmurowych na Przedmieściu Łyczakowskim, a obecnie rozszerzył zakres swej działalności, aby przyozdabiać, nie tylko mieszkania umarłych, ale i żywych, jeżeli mianowicie posiadają fundusze na marmurowe konsole, statuetki, kominki po dziewięćset guldenów i tym podobne, piękne wprawdzie, ale też i bądźco bądź kosztowne wymysły. Dawniej mieliśmy tu Włocha, nazwiskiem *Pascale Zachi*, który dostarczał po większej części ozdób pomieszkaniom lwowskim. Udatne jego odlewy gipsowe znajdowały się w każdym niemal mieszkaniu, czy to był salon bogaty, czy skromny pokój studencki. Ilekroć popiersi naszych poetów, uczonych i sławnych w historii mężów rozeszło się przez lat kilkadziesiąt z jego pracowni! Ale odtąd stary Włoch umarł przed kilku laty, podupadła pracownia,

a natomiast przybywają rzeźby Szimsa. Wszakże jednego z drugim porównywać nie można. Zachi używał gipsu, a co najwięcej, alabastru, do swych wyrobów, z których wiele posiadało, jak mówiłem, pewne historyczne pamiątkowe znaczenie, a będąc przystępnej ceny, już z powodu materiału, z którego było wykonane, rozpowszechniało się w szerokich kołach. U Szimsa znajdujemy tylko marmur, bądź-to krajowy, bądź zagraniczny, a nawet prawdziwy kararyjski. Na kolumnach i półkolumnach, rozmaitej wielkości, barwy i rysunku, stoją, rzeźbione z białego marmuru statuetki, jak je tworzy realistyczne duto dzisiejsze, bądź-to postaci mitologiczne, bądź z życia powszedniego wziętych typów. Tam wychodzą nimfy z kąpeli, przyglądając się z zachwytem uroczym plastycy własnych swych pięknych prawdziwie postaci — tam dziecię płaczące tulące się do matki, tam skrzywną twarzyczkę; tu śmiała pływaczka rzuca się w nurt fali w trykotach, zatrzymana w półowie skoku despotycznym dłem rzeźbiarza; obok pokutnica pochyla twarz osłoniętą misternie utkanym z marmuru, jakby z koronki, przejrystym woalem, a dalej znowu malarka z paletą w rękę przyciska do piersi dziecię, mające zapewne oznaczać sztukę. Wszystkie te osoby i grupy z białego marmuru sprowadzone są z Włoch i stanowią dobrą ilustrację dzisiejszych wielkich smaku artystycznego w uświęconej wielkimi tradycjami ojczyźnie sztuki, pod najpoetyczniejszym w świecie niebem, w atmosferze przepojonej wspomnieniami klasycyzmu unoszącego ducha w świat idealnych natchnień. Bądźco bądź w ubogim w dzieła rzeźbiarskie Lwowie, gdzie nawet na wystawach sztuk pięknych dział rzeźby bywa bardzo skąpo zaopatrzony, wystawa rzeźbiarska p. Szimsa jest nowością godną zwiedzenia.

Występuje tu od niejakiego czasu deklamator p. Stanisław Konopka, artysta dramatyczny prowincjonalny, który przed przybyciem do Lwowa popisywał się z deklamacjami swemi w Czerniowcach i innych miastach powiatowych. Tutaj we Lwowie deklamował najpierw dla młodzieży szkolnej po gimnazyach i szkołach żeńskich na zaproszenie władz szkolnych; potem wystąpił publicznie na cel dobroczynny. Zaginęła, można powiedzieć, u nas tradycja pięknej deklamacji pokojowej; dzisiejsi deklamatorowie po większej części zamiast uwydatnić piękność myśli autora i podnieść ją harmonijną melodią głosu, popadają w aktorstwo, uzupełniając mimiką treść słów, uzupełnienia tego niepotrzebujących, a przesadnym cieniowaniem psują tylko myśl autora, odwracając uwagę słuchacza od właściwej piękności przedmiotu, tworząc zeń siekanie najrozmaitszych tonów, od szeptu, którego trudno czasem dosłyszeć, aż do wykrzyków gwałtownych mających kontrastem posunięciem do ostateczności wywołać potężne wrażenie. Mistrzem tego rodzaju daklamacji jest Strakosz wiedeński, zbierający burze oklasków i grube pieniądze w swych poza Wiedeń deklamatorskich wycieczkach. Przyznaję, że nie mogłem się nigdy pogodzić z deklamacją profesora Strakosza. Konopka jest jakby żywym jego konterfektem, podobnym o tyle, o ile portret może dorównać oryginałowi. W deklamacji swą stara się on wlać jaknajwięcej efektownych kontrastów w cieniowaniu szczegółów i mimiki scenicznej. Konającego z głodu Chattertona w tragicznym poemacie Alfreda de Vigny odegrał w czarnym fraku i białym krawacie za zielonym stolikiem, tak jakby w łóżku na scenie. Nic jednak przeciw temu tak dalece nie mamy, zwłaszcza, jeżeli cel dobroczynny niejednego może starca od prawdziwego głodu wybać. Zależy to wreszcie od smaku i dobrej woli słuchaczów, czy im się to podoba lub nie; ale tego wytlómaczyć sobie niepodobna, jaki był właściwie cel pedagogiczny zapraszania p. Konopki do deklamacji po szkołach. Wiemy jak młodzież z natury już skłonna bywa do wszelkiej przesady, do gonienia za pozorami i powierzchownym blichtrzem, jak skora do naśladowniczego małpowania czezej formy z uszczerbkiem istoty rzeczy i myśli. Po cóż więc popychać ją jeszcze w tym kierunku i utwierdzać niejako w przekonaniu, że piękność myśli, że wartość poematu tkwi w prze-

sadnych modulacjach głosu deklamatora, pochłaniających myśl autora częstokroć do niepoznania?

Dokończenie nastąpi.

MEŻCZYŻNA ¹⁾.

— Meżczyżna silny, potrafi z doli życia swego, wyostać możliwie najwyższą sumę szczęśliwości, i najcięższe razy losu wytrwale zniesć.

— Zaliż to jest prawda, jakoby niegdyś przeznaczenie było potężniejszym od Bogów? Według mnie, Fatum mogło być mocniejszym od Jowisza, ale nigdy od woli mężkiej.

— Wierzę w Boga. wierzę w Świętych Jego i ukochanych moich, ale najmocniej wierzę w samego siebie. Pogańskie są to słowa, ale meżczyżna musi się na taką wiarę ważyć.

— Gdybym wierzył w fatalność, przypuszczałbym, że istnieje jakaś istota niewidzialna, która bierze duszę meżczyżny i duszę kobiety, czyni z nich *sublimat* jeden i kryształ z tego tworzy. Gdy przecież powstanie dyament, wielki dociekacz czuje się riezadowolonym, rozbija go i z inną istotą kobiecą próbę robi.

— Prawdziwy rycerz daje kobiecie tylko całe serce.

— Są tacy, którzy się na burszów poradzili i ci do siwego włosa burszami pozostają, że zaś lekkich tylko tryumfów szukają i przedstawiają sobie zawsze miłość w postaci dziewczyny posługującej, nie mogą jej pojąć w osobie królowej, którą się czci na kolanach i doznaje się wśród czci takiej rozkoszy niebiańskich.

— Wielem zniósł: cierpiałem głód, ból ran, spiekę słoneczną i mróz traskający, z tonu dumy mojej musiałem nieraz spuścić, darować mogłem kobiecie kochanej, gdy mi się przenieśli; ale tegobym nie zniósł, aby kobieta, która moją się wyznaje, nie kochała mnie.

— Meżczyżna może przestać kochać, może przedmiot miłości swojej zmienić, ale jest niezemny, jeżeli dla kobiety, która go jeszcze kocha, okrutnym się okaże. Powinien ją przedewszystkiem szanować, bo jest wyższą od niego, skoro wierniejszą i stałą się okazała. Serce jej jest doskonalsze i silniejsze w uczuciu swoim.

— Meżczyżna, który złamie serce kobiety uczciwej, niech wie, że zламаł jej życie, jakkolwiek nie padła mu w oczach trupem. Rana śmiertelna w sercu jej tkwi i uchodzi nią ciągle sama treść życia.

— Są rzeczy złe, których meżczyżna za występki sobie nie poczytuje, lecz w czemkolwiek bądź człowiek z drogi uczciwości zbroczy, musi sobie powiedzieć, że jest nieuczciwym. Gdyby to było zbroczenie na szerokość włosa tylko, skaza byłoby taką, jakgdyby w rachunku jedną cyfrę fałszywie napisał.

— Choćby meżczyżna sam tak wiernym być nie umiał, jak powinien, niemniej wierności od kobiety żąda. Dlatego też w uniesieniu miłosnym kobietę kochaną aniołem nazywa, bo wierność w miłości jest anielskości blizką, i już z nią graniczy. Lepszy, gorszy powieściopisarz zawsze jednak miłość wierną wysoko podnosi, bo jakkolwiek bądź dzieje się w życiu, jest to zawsze ideał, którego tylko najgrubszy materyalista nie uznaje, ale u tego rzeczy idą porządkiem odwrotnym. Na papierze praw niewierności broni, w życiu jednak nie pamięta o tem i na wierności kobiety kochanej honor swój, a zwłaszcza szczęście, opiera.

— Jest takie okno jedno, szczególnego rodzaju, przez które patrząc, nie widzi się mnóstwa rzeczy, widocznych przecież dla tysiąca innych ludzi. Oko meżczyżny jest oknem takim i dobrze, że w ten sposób utworzonym zostało.

— Im meżczyżna jest wyższy wzrostem, tem mniej widzi wad i skaz na przedmiotach, ku którym wzrok obraca. Ale przez ten błąd tylko,

1) Z Y : Przez czterdzieści lat.

może pozostać lepszym i szczęśliwszym, nie oddaje mu też przysługi przyjaciół taki, który mu się każe schylać i zbliżać rzeczom przyglądać, bo wtedy świat brzydnie biednemu przed oczyma. Ale zato człowiek podniosły, zgóry na przedmioty patrzący, doskonale obejmuje wzrokiem całości, i choć w drobnych szczegółach się myli, ogólnie ma lepszy, sprawiedliwszy sąd o rzeczach i dalej też przed siebie widzi. Przytem nie traci czasu, zastanawiając wzrok swój na badaniu małości.

— W mężczyźnie siła i słabość mieszkają razem. Idzie on śmiało naprzeciw śmierci, a boi się kobiety i kryje się z tem, że stłukł szklanę, aby nie być przez dobrą gospodynią łajdanym. Żaden cios losu tak ciężkim nie będzie, aby duch zatruł mu się goryczą, a jedno gryzące słowo, jedno ostre odcieście się istoty, którą kocha, zrani mu serce do głębi. Nie będzie przecież jęczał, nie będzie się skarżył, ale cierpi tem silniej.

— Mężczyzna najnamiętniej unosi się gniewem na kobietę, którą kocha, gdy ta nazbyt mu dokuczy, bo go to boli najmocniej od niej rany dostawać. Trzeba przecież dodać, że w kobiecie, którą przestał kochać, coraz-to nowe wady upatruje i wszystko mu się w niej nie podoba, wszystko w złym świetle mu się przedstawia, ale to co innego. Są to wyrzuty sumienia, które to sprawiają. Mężczyzna czuje się winnym i chce się usprawiedliwić przed sobą samym, w sercu jednak podobny jest do dziecka, bijącego stół, o który się uderzyło. Radziłbym matkom, aby dziecko obitem wtedy było, bo pobudką jest tu zły egoizm, z natury ludzkiej wypływający. Wprawdzie mężczyzna zupełnie lichy uczucia takiego nie doświadcza, bo wyrzutów żadnych nie miewa, ale też nie przechodzi przez to i wyżej szlachetny. U tego panuje w sercu smutek, czuje głęboki żal nad porzuconą i stara się być dla niej najtkliwiej dobrym. Często też rodzi się z takiego stosunku przyjaźń, jedynie prawdziwa, jaka między kobietą i mężczyzną powstać może i wtedy bywa ona stałą i trwającą aż do śmierci, ale trzeba na to, aby obie strony były zarówno podniosłego ducha. Niemniej historia przedstawia kilka przykładów takich: Abelard i Heloiza należą do ich liczby.

— Przeznaczeniem mężczyzny jest kobieta. Zła go poniża, czy wtedy, gdy z nią walczy, czy wtedy, gdy jej się poddaje. Dobra, zawsze go uszlachetnia i podnosi. Szczęście mężczyzny i nawet dostojność jego, zależy od tego: jaką kobietę spotkał na drodze swojej.

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, w Marcu 1884 r.

(Dokończenie)

Dochód ogólny Towarzystwa Pomocy Naukowej przedstawia się tedy bardzo poważnie, dając 67,000 marek na rok ubiegły. Takie objawy, zaiste, są radosnymi dla serca, upewniając o żywotności społeczeństwa, które tak rozumie swoje potrzeby i w którym dostatni i zamożni tak ochotnie dzielą się chlebem i groszem z uboższą swą bracią.

Oczywiście, staropolskim zwyczajem, nie obyło się bez uczty wspólnej po odbytych naradach. Sala Bazarowa otworzyła się, jak zwykle, dla uczestników tych agapów bratnich, a liczne toasty dodały życia i rozmaitości skromnemu obiadowi. Po trudzie dni ostatnich, z poczuciem doko-

nanej i dobrze spełnionej powinności, szczerą wesołość ogarnęła zebranych. Zpośród licznych przemów obiadowych najpiękniejszą wygłosił sędziwy hr. August Cieszkowski, wnosząc zdrowie młodzieży, tak dziś skwapliwie chwytającej się Piastowskiego pługa, aby sprostać obowiązkowi pracy, która jest przeznaczeniem człowieka. Toastowi temu dodawała znaczenia i doniosłości sama osobistość mówcy, którego siwizna zachowała wiernie wszystkie piękne ideały i zapalał młodości. I w przemowach obiadowych, i w naradach poprzednich, przypomniano niejednokrotnie hasła oszczędności i skrzętności, poprawy i upamiętania się, wyrzeczone w pamiętnej odezwie 74 obywateli, przed dwoma miesiącami wydanej. Poważne te słowa nie przeszły bezowocnie; już i karnawał minął cicho i skromnie, jakby w obawie aby się nie sprzeniewierzył programatowi zakreślonego przez najpoważniejszą część naszego obywatelstwa. A im ciszej minęły zapusty, im mniejszym był zjazd karnawałowy, tem liczniejszy zastęp młodych pracowników stawiał się na tegoroczne zebrania przeróżnych towarzystw. Ten bezpośredni skutek bratniego upomnienia serdecznie ucieszył inicjatorów owego zwrotu ku lepszemu; ufać zaś należy, iż zbudzone dobre postanowienia utrwalą się stanowczo na następne lata.

Ciężka niemoc czcigodnego prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, p. Stanisława Koźmiana, zasmucając licznych jego przyjaciół, nie wstrzymuje jednak działalności uczonego grona.

Zimowe odczyty następują po sobie bez przerwy. Do zwykłych, miejscowych prelegentów, przybyły młodsze siły, a mianowicie wysłuchano z zajęciem wykładu „O zarodkach krytyki literackiej we Lwowie, pomiędzy 1773 a 1815 latami“, wygłoszonego przez Dra Włodzimierza Koźłowskiego. Obok ogólnych rysów, przedstawiających drastycznie *Verdummungssystem* germanizacji austriackiej w epoce wskazanej, młody prelegent w zajmujący sposób naszkicował postacie Wojewodziny Braclawskiej, księżnie Jabłonowskiej, kasztelanostwa Kuropatnickich, pisarza koronnego Rzewuskiego, kuchmistrza litewskiego Wielhorskiego, Teofili ze Stadnickich Krasiekiej i innych osób wybitnych, opierając się słusznie na zdaniu, iż dzieła sądzić trzeba w związku z duchem epoki i ludźmi społecznymi, a nie krytykować je z abstrakcyjnego stanowiska, późniejszych wyobrażeń i stosunków. Ciekawy ten odczyt jest podobno fragmentem obszerniejszego studium nad literaturą galicyjską, którą p. Koźłowski ma zamiar taksamo opracować, jak to uczynił p. Kazimierz Jarochoński dla literatury poznańskiej, z pierwszej połowy bieżącego stulecia.

Wymieniony powyżej historyk XVIII wieku, nową kartę dziejową rozwinął w kole Przyjaciół Nauk, w odczycie opisującym barwnie oblężenie Gdańska z 1734 r. Polityczny stosunek Polski z Francją, doczekał się mistrzowskiego ocenienia. Ludwik XIV szukał stale wśród drugorzędnych państw europejskich wiernych sprzymierzeńców, ku neutralizowaniu potęgi wielkich mocarstw, jak Austria, a później i Rosya. Niestety! była to epoka, w której ludzie nie umieli stawiać na wysokości wypadków, a wojna najdonioślejsza zamieniała się nieraz w spór partyzantów. Na tem ponurem tle dziejowym jedynym światłym momentem jest owa obrona Gdańska, tego starego metropolium bałtyckiego handlu, które wtedy krwią i męztwem swych mieszkańców dała świadectwo nierozzerwalności z Rzeczpospolitą. Oblężenie trwało całe ośm miesięcy; Leszczyński, nie wierząc w powodzenie, rychło tracił serce, co i jego sojusznikom odejmowało otuchę. Gdańsk

kapitulował jednak dopiero w ostateczności, liczne wytrzymawszy szturm. Część krwawych wspomnień tego oblężenia, francuzki pisarz niedawno zamknął w ciekawej i dramatycznej biografii hrabiego de Plélo, jednego z głównych bohaterów obrony Gdańska. Polecamy epizodyczne opowiadanie francuzkie naszym czytelnikom 1).

Inny jeszcze odczyt, tymrazem nieścieśniony wyborowem kołem Przyjaciół nauk, długie po sobie zostawił dyskusję i wywołał spory. Pan Józef Kościelski wygłosił w Sali Bazarowej rzecz o dramacie i krytyce teatralnej. Pewne lekceważenie klasycznych autorów, jak starego Fredry, połączone z wynoszeniem natomiast nowszej szkoły i takich pisarzy, jak p. Świętochowski, niechętnie usposobiło licznych słuchaczy; wycieczki zaś prelegenta przeciw krytyce warszawskiej i krakowskiej przykre na zgromadzonych wywarły wrażenie.

Teatr nasz, pod kierownictwem takiego wytrawnego artysty, jak p. Rychter, nadzwyczaj się podnosi i wyrabia. Dobór sztuk, z małemi wyjątkami, zadawalnia publiczność śpieszącą dość licznie do przybytku Melpomeny, tylu ofiarami utrzymywanego. Kolejno oglądamy na scenie swej wszystkie nowości dramatyczne autorów rodzimych, a w ostatnich czasach *Dom otwarty*, oraz *Gęsi i gęski* największego doznały powodzenia. Z koncertów amatorski nie doszedł wcale—za to Sarasate czarował nas zaklętymi dźwiękami tych skrzypek cudownych, w których uwieczona dusza zda się jęczeć, szlochać i śmiać się naprzemian. Hrabia Zichy jedną ręką dokazywał dziwów, pięciu palcami zastępując całą orkiestrę.

Sprostowanie.

W Nr 13 *Bluszczu*, w zakończeniu „Chóru“ w dramacie *Agis*, zamiast „Leonidasowi“, powinno być: „Leonidas grozi...“

Tom II-gi dzieła pod tytułem :

ROZRYWKI DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

PRZEZ

SEWER. PRUSZAKOWĄ

WYSZEDŁ Z DRUKU

Cena dla prenumeratorów „Bluszczu“

w Warszawie kop. 50; z przesyłką kop. 60.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 8-ym i 9-ty tomu III-go powieści pod tyt.: **Widmo szczęścia.**

1) Streszczenie tego dzieła podał już Kazimierz Jarochoński, jeszcze w r. 1877 w *Kwartalniku Kłosów* T. II, str. 223.

TREŚĆ. Na Golgocie, poezya, przez M. Ilnicką. — Pogawędka. — Etyczne stanowisko kobiety w poezyi naszej, (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką. — Któs, powieść, (dalszy ciąg) przez J. I. Kraszewskiego. — Król Agis, dramat, (dalszy ciąg), przez Juliusza Słowackiego. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, — Mężczyzna, z Yokaya. — Korrespondencya zagraniczna, Poznań, (dokończenie).

Warszawa.—Druk S. Orgelbrandta Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Марта 1884 года.